

Marcin Rychter

ORCID 0000-0001-5893-201X

Uniwersytet Warszawski

Mikołaj Wiśniewski

ORCID 0000-0002-1365-7576

Uniwersytet SWPS

„Czy leci z nami pilot?” Zamiast wstępu. Rozmowa o Kurcie Vonnegucie

Mikołaj Wiśniewski: Zaczniemy od tego, co zdaniem wielu krytyków jest kluczowym doświadczeniem, które ukształtowało całą twórczość Vonneguta – oczywiście mam na myśli bombardowanie Drezna. Marc Leeds stwierdził wręcz, że Vonnegut „każe wszystkim swoim bohaterom przeżywać najważniejszy moment w jego życiu: bycie pochowanym żywcem w rzeźni podczas bombardowania Drezna”. Co prawda sam Vonnegut podważał tę opinię, mówiąc: „Znaczenie Drezna w moim życiu zostało wyolbrzymione, ponieważ moja książka na ten temat stała się bestsellerem”, myślę jednak, że diagnoza Leedsa jest trafna, z jednym wszakże zastrzeżeniem: bombardowania Drezna nie należy traktować wyłącznie jako prywatnej traumy autora *Rzeźni numer pięć*; innymi słowy, bombardowanie Drezna nie jest dla Vonneguta po prostu tym poszczególnym epizodem drugiej wojny światowej (a już na pewno nie jest „niefortunnym wydarzeniem” w skądiną szlachetnej krucjacie aliantów przeciwko nazizmowi), ale stanowi manifestację nowej jakości w dziejach przemocy i zniszczenia. Chodzi o technologiczny skok, który daje człowiekowi możliwość dokonania całkowitej zagłady. Dla Vonneguta nie ma większej różnicy między nalotami dywanowymi z użyciem materiałów wybuchowych i zapalających a zrzućeniem bomby atomowej: Drezno jest

u niego zarazem Hiroszimą, o której zresztą w *Rzeźni* jest mowa (nieprzypadkowo). Aktualność Vonneguta polega między innymi na tym, że przypomina on w swoich powieściach o tej możliwości, o której chcielibyśmy zapomnieć, ale która nie zniknęła przecież wraz z zakończeniem zimnej wojny. Ta historia w c a ł e się nie skończyła – Vonnegut zdaje się odpowiadać Francisowi Fukuyamie. Żyliśmy w naiwnym przekonaniu, że pewne rzeczy są już niemożliwe, i oto w 2022 roku, osiemset kilometrów od Warszawy, bomby znowu spadają ludziom na głowy, a Zachód zastanawia się, czy im pomagać, bo nowy Hitler trzyma palec na przycisku atomowym. Zresztą tych niezaktualizowanych możliwości zagłady Vonnegut widzi o wiele więcej, o czym z pewnością świadczy fakt, że w jego powieściach tak często mamy do czynienia z wizjami końca, różnymi wersjami Armagedonu, rozpadem świata, który znamy, a który, jak sądziliśmy, został tak świetnie zorganizowany przez liberalną demokrację i gospodarkę rynkową, że już będzie trwał po wsze czasy.

Marcin Rychter: Nie ulega wątpliwości, że przychodzi nam kończyć tę książkę w zupełnie innym świecie niż ten, w którym ją obmyślaliśmy. Tym ciekawsze, że Vonnegut wydaje się wciąż, a może jeszcze bardziej, na czasie. Pamiętam, że na samym początku – jakieś trzy lata temu – uznaliśmy, że warto przypomnieć polskiemu czytelnikowi powoli popadającą w zapomnienie twórczość Kurta Vonneguta właśnie też dlatego, że zyskuje ona nową aktualność. Sądziliśmy wówczas, że ironia i humor Vonneguta, a także jego przywiązanie do demokratycznych i liberalnych wartości (bardziej w politycznym i egzystencjalnym niż gospodarczym sensie), mogą stanowić świetną odtrutkę na współczesny kryzys zachodnich demokracji, przejawiający się w wyborczych zwycięstwach rozmaitych „silnych” polityków o zapędach nacjonalistycznych, izolacjonistycznych i autorytarnych. A jeśli nie jest odtrutką – pewnie przeceniam sprawczy potencjał literatury – to przynajmniej daje pewien zasób dyskursywnych, afektywnych, symbolicznych i conceptualnych narzędzi pozwalających krytycznie przyjrzeć się trendom, które w wielu krajach Zachodu wyniosły na szczyty polityków odnoszących się z nieskrywanym lekceważeniem lub wręcz pogardą do demokratycznych ideałów drogich Vonnegutowi. To się nie zmieniło, jak sądzę. Vonnegut

wciąż może chyba pomóc rozbrajać agresywną, ksenofobiczną i nacjonalistyczną retorykę z drugiej dekady nowego tysiąclecia. A z drugiej strony może też nam przypominać, że Zachód to nie tylko kolonializm, patriarchy, rasizm, wyzysk, rozwarstwienie, alienacja i bezmyślność masowej rozrywki. To wciąż bardzo ważne. Problem polega jednak na tym, że świat właśnie „wypadł z ram” lub, by zamiast Szekspira zacytować autora *Hokus pokus*, „odchody wpadły do klimatyzatora”. Ci, którzy jeszcze niedawno sądzili, że Fukuyama, mimo wiader pomyj wylewanych mu od trzech dekad na głowę z lewa i z prawa, miał jednak trochę racji, wieszcząc wymuszony przez efektywność kapitalizmu globalny konsensus elit co do nieopłacalności wojny totalnej, zostali brutalnie pozbawieni złudzeń. Nie dość, że wojna totalna trwa kilkaset kilometrów od miejsca, w którym rozmawiamy, to zagrożenie światowym konfliktem nuklearnym jest większe niż kiedykolwiek w dziejach. Mamy nową zimną wojnę albo, jeśli chcemy być bardziej pesymistyczni, pełzającą trzecią wojnę światową, a za naszymi granicami mieszkańcy Ukrainy są masakrowani na rozkaz Putina za pomocą bomb, artylerii i rakiet, czyli metodami z drugiej wojny światowej. I w ten sposób bohater niniejszego tomu stał się współczesnym czytelnikom jeszcze bliższy, choć takiej bliskości nikt z nas nie oczekiwał ani sobie nie życzył. Twórczość Vonneguta, jak słusznie zauważyłeś, obracała się wokół i wyrosła z doświadczenia drugiej wojny światowej, w szczególności bombardowania Drezna, którego skutków autor doświadczył jako jeńiec zmuszony do zbierania zwłok cywilów. Ale bardzo ważne jest w niej również doświadczenie zimnej wojny i powiązana z nim nuklearna paranoja, z którą dziś znów musimy się na poważnie mierzyć, tak jak mierzył się z nią przez całe życie Vonnegut. Podejmował ten wątek wielokrotnie i na różne sposoby, zresztą nie tylko w twórczości artystycznej. W roku 1950, kiedy stawiał pierwsze kroki jako pisarz science-fiction i ledwo wiązał koniec z końcem, przedstawił dość osobliwą ofertę swojemu przyjacielowi, Millerowi Harrisowi, który pracował w dużej firmie odzieżowej założonej przez swojego pradziadka. Był to pomysł gadżetu dla nastolatków, który miał pozwolić im obu „dorobić się błyskawicznie”. Pomysłem była muszka o „dość krzykliwej barwie”, wykonana ze „wstążki, którą Komisja Energii Atomowej oficjalnie oznacza strefy niebezpiecznie

napromieniowane”¹. Przyszły pisarz ciągnął: „dzięki chwytowi z energią atomową same wstążki mogą być tak nędzne jak tylko zechcesz. Za cenę detaliczną 50 centów schodziłyby jak świeże bułeczki. To byłaby żyła złota”. Może ten koncept też zyskał nową aktualność?

MW: Tak, typowy wisielczy humor Vonneguta. Niektórych czytelników bardzo on drażni, zdają się bowiem sądzić, że jest wyrazem cynizmu i defetyzmu autora. W złośliwej recenzji *Rzeźni numer pięć* Pearl Kazin Bell powiedziała, że Vonnegut wiezie prym pośród współczesnych pisarzy, których nazwała „hordą małych Jeremiaszy wieszczących zgubę Zachodniemu Światu”. Faktycznie, takie wrażenie można czasami odnieść: Vonnegut w dość ponurych barwach widzi przyszłość tego „zachodniego świata”, którego rozpad wyobraża sobie w wielu powieściach. Nawet jeśli nie pisze o tym wprost, jak w *Galapagos* czy *Slapstick*, ów rozpad stanowi tło opowiadanych przezeń historii: wydaje nam się, że mamy do czynienia z normalną rzeczywistością, a tu nagle narrator powiada: „Aha, tak przy okazji, przypadkowy wybuch bomby neutronowej doprowadził jakiś czas temu do skażenia całego Midwestu” (*Rysio Snajper*) albo: „Cała amerykańska biedota została osadzona w więzieniach, którymi zarządzają japońskie firmy” (*Hokus pokus*). Czasami wydaje się wręcz, że myśl o końcu ludzkości (a więc również o końcu głupoty, nienawiści i przemocy) jest dla Vonneguta pocieszająca. We wspomnianym *Galapagos* mamy na przykład wizję dewolucji gatunku ludzkiego, stopniowego kurczenia się naszych zbyt dużych mózgów, w których lęły się szkodliwe ideologie. Ostatecznie ludzie zamieniają się w łagodne, podobne do delfinów morskie stwory. Możemy oczywiście zbyć ten pesymizm i katastrofizm jako groteskowo przesadny, ale sęk w tym, że przewidywania Vonneguta w niepokojący sposób się sprawdzają: o skażeniu spowodowanym „atomową awarią” pisał w 1982 roku – Czarnobyl mieliśmy cztery lata później; zjawisko masowej inkarceracji w USA dostrzegł już w 1990 roku, kiedy dopiero nabierało ono rozpędu; oczywiście też na każdym kroku Vonnegut przypomina o degradacji środowiska naturalnego, której źródła upatruje w rozpasanym konsumpcjonizmie. Ekokrytyczna

¹ Kurt Vonnegut, *Listy*, przeł. Rafał Lisowski (Warszawa: Wydawnictwo Albatros – Andrzej Kuryłowicz, 2015), s. 67-68.

wrażliwość Vonneguta to kolejny powód sprawiający, że jego dzieło zyskuje dzisiaj na aktualności. Wątek ten podkreśla Jerzy Kamionowski w swoim esej o *Galapagos*, zestawiając przy tym w interesujący sposób fabułę książki z biblijnym mitem o potopie i Arce Noego. Interpretacja ta odsłania ironiczno-moralistyczny temperament pisarza: ironiczna gra religijnym mitem pozwala Vonnegutowi przekazać całkiem serio potraktowane przesłanie, w myśl którego ludzie – a w szczególności przedstawiciele „nihilistycznej finansjery” – są największymi niszczycielami ziemskiego ekosystemu, wiodąc planetę ku katastrofie.

Jak to więc Twoim zdaniem jest z Vonnegutowskim katastrofizmem? Czy cały ten czarny humor, rezygnacja czy wręcz mizantropia to tylko poza, pod którą naprawdę kryje się, jak ujął to Paweł Stachura, „szlachetny sentymentalizm” lub, można też powiedzieć, sentymalny humanizm? Narracyjna persona, którą zbudował Vonnegut, to dziwne połączenie katastrofisty-cynika Kilgore’a Trouta, który odczuwa nieskrywany wstręt do ludzkości, i pocziwego humanisty, jakiegoś Vonneguta bis, który uparcie wierzy, że jeszcze wszystko będzie dobrze, bo wystarczy być przyzwoitym człowiekiem: nie brać udziału w rzeziach i nie pracować w firmach produkujących narzędzia mordy, jak pisze pod koniec pierwszego rozdziału *Rzeźni*; i jeszcze – bardziej sprawiedliwie dzielić się wszelkimi dobrami, ograniczyć ich konsumpcję i ogólnie troszczyć się o innych. Takich rad Vonnegut udzielił absolwentom Bennington College na sam koniec słynnego przemówienia, chociaż zaczął je w iście Troutowskim duchu, mówiąc że jest „kompletnym pesymistą” i że nie może przynieść nikomu światła nadziei, bo „nie ma żadnego światła. Wszystko stanie się niewyobrażalnie gorsze i już nigdy nie będzie lepiej”. Ta sprzeczność, czy wręcz maniakalno-depresyjny rys, zdaje się cechować całą twórczość Vonneguta. Jak zauważa Stachura, bohater jego powieści, będący często również jej narratorem, odsuwa spełnienie swoich marzeń o lepszym świecie, bardziej sprawiedliwym i braterskim społeczeństwie, w utopijną przyszłość: „nie może [...] zaproponować żadnej formy spełnienia tych pragnień, gdyż wszystkie ideały traktuje ironicznie”².

² Zob. w tym tomie Paweł Stachura, „*Syreny z Tytana*: Kurt Vonnegut jako wyraziciel ideałów mieszczańskich”, s. 35.